

Różne wymiary straty

Jestem lekarką rodzinną. Daje mi to komfort dopasowywania pracy do moich możliwości, a możliwości i preferencje mam czysto ludzkie: nie lubię poniedziałków. Zdecydowałam zatem, że tydzień będę zaczynać od dnia teleporad. Pracuję dzięki temu z domu. Tydzień witam w dresach i słuchawkach na uszach (i wcale nie myślę tu o stetoskopie). Jesienią jestem gotowa na poranek pełen opowieści o katarach, które zatrzymały moich pacjentów w domach, o bólach gardła, które nie pozwalają moim rozmówcom mówić w pracy (ale często pozwalają mieć teleporadę ze mną), o kaszlach, które rozrywają płuca... Słowem jestem gotowa na zalecenie leków (często objawowych), na wystawienie zaświadczenia o niezdolności do pracy i szybką ocenę, czy pacjent wymaga wizyty w trybie stacjonarnym. Ta praca polega na byciu sprawnym wywiadowcą, ale zwykle nie wymaga opuszczenia utartych schematów. Czasem jednak spod miękkiej kołderki spokojnego poniedziałku wyciągają mnie te kwestie, które ciężko określić mianem schematu. O czym myślę? Myślę o matkach. Tej pierwszej, która po serii klasycznych objawów, na pytanie o zwolnienie odpowiada, że nie potrzebuje. Włącza tym samym mój instynkt detektywa i skłania do pytania o powód jej niezdolności do pracy. Odpowiada niechętnie, jakby z lekką nieśmiałością o zwolnieniu wystawionym z powodu niedawnego poronienia.

Rozmawiamy o samopoczuciu pacjentki, bo że jest złe, to słyszę, ale nie wiem jak bardzo. Nie wiem, czy była w szpitalu, czy w sali przy łóżku obok nie terkotało radośnie KTG, nie wiem, czy znajoma z sali nie wychodziła w kółko na „fajkę”, czy w domu czekały na nią inne uśmiechnięte bąbelki, czy ten był wystarany i wychuchany, jaka była przyczyna poronienia. I całkiem poważnie – nie muszę dziś tego wszystkiego bardzo dokładnie wiedzieć. Dziś chcę być pewna, że moja rozmówczyni ma możliwość konsultacji z psychologiem, że jest pod opieką ginekologa, któremu ufa, że wie, gdzie szukać pomocy, że wie, że powrót do równowagi to długa seria małych kroków, będąca jak jeden z tych wykańczających treningów, na koniec których czujemy wielką satysfakcję z tego, że daliśmy radę, mimo bólu. Dziś jest dziś.

W październiku (15) obchodzimy dzień dziecka utraconego. W Polsce został wpisany do kalendarzy w 2004 r. Zatem dopiero osiemnaście lat temu uznano, że nadszedł czas, by rozmawiać o stracie, by patrzeć na przemijające życie małego/nienarodzonego człowieka z większą empatią, by powiedzieć głośno o tym, że strata dziecka rozrywa serce, że

brakuje mechanizmów wsparcia do przejścia kryzysu.

Tymczasem dziecko można stracić na wiele sposobów. Moja poniedziałkowa kołderka już po tej rozmowie zrobiła się nieco przykrótka, ale jeszcze liczyłam na powrót do mojej „katarkowej” rutyny. Gdy w jednej z kolejnych rozmów usłyszałam tę drugą matkę. Matkę proszącą o leki na wyciszenie dla jej pięcioletniej córki, bo dziecko niespokojnie śpi. Dlaczego pięciolatka niespokojnie śpi? – zapytacie. Ja z resztą też zapytałam. Otóż owa małaletnia gwiazdeczka, ukochana córeczka mamusi, miała wysoką nieprzyjemność bycia molestowaną w przedszkolu i właśnie ten epizod śni jej się po nocach. Epizod, w którym jako jedna z dwóch najgrzeczniejszych dziewczynek z grupy zostaje zabrana na bok... epizod, którego nie mogła sobie wyobrazić, mimo że dzieci zazwyczaj wyobraźnię mają niesamowicie barwną i kolorową, którego nie mogli przewidzieć jej rodzice oddając ją do polecanego przedszkola w tzw. dobrej okolicy. Czy mamy w kalendarzu dzień niewyobrażalnego bólu? Bólu, który nie pozwala przestać myśleć, który każe ciągle analizować, gdzie został popełniony błąd. Czy jako rodzice jesteśmy egoistyczni i dlatego pracujemy i nie jesteśmy z dziećmi w domu 24/7? Czy może altruistyczni, bo dzięki temu nasze dzieci mają co jeść, mogą chodzić na zajęcia z akrobatyki lub z nami do teatru? Czy poświęciliśmy tyle uwagi, ile było potrzebne, czy tylko poświęciliśmy dzieci, oddając je do placówki pod opiekę obcych ludzi? Gdzie jest złoty środek? Nie wiem. Wiem, że w tej historii też jest poniekąd utracone dziecko. Dziecko, którego życie się zmieniło. Dziecko, które pozna masę obcych ludzi chcących wiedzieć o niej wszystko w imię pomocy – mam nadzieję. Dziecko, którego matka będzie się już zawsze bała, a jak wiadomo, zawsze to przeraźliwie odległy termin. Dzieciństwo chwilowo zrobiło tu sobie przerwę, ale mam nadzieję, że wróci, że pozwoli dorosnąć powoli.

Właściwie nie ma już śladu po mojej kołderce z prostych spraw. Powoli kończę pracę, choć wolałabym już/teraz/natychmiast odebrać obie córki matki lekarki z placówek i dziękować za to, że są, że marudzą przy zakładaniu butów, że chustka na szyję ma zły kolor i że odebrałam je zbyt wcześnie/zbyt późno (to absolutnie nieprzewidywalne) i cieszy mnie w tym pewna stałość mych uczuć: nie lubię poniedziałków.

Katarzyna Czaplicka

Panaceum 10/2022